



JACEK JAKUBIEC

OŻENIĆ OGIEŃ Z WODĄ...

JELEŃ GÓRA 2009

Tak zatytułował wywiad ze mną Janusz Rozł, gdy pod koniec 1988 roku decyzją redakcji „Nowin Jeleniogórskich” zostałem laureatem nagrody „IMPULSY '88”. Wtedy miałem 45 lat i od 17 lat byłem jeleniogórzaninem. Ten laur przyszedł w przededniu – dziś to już wiemy – historycznego przełomu. Dla mnie było to doświadczenie tyleż miłe, co zaskakujące. Uzasadnienie brzmiało: „kustoszowi renesansowego dworu w Czarnem, społecznikowi i humaniście, inspirującemu w sposób twórczy swą wyobraźnią wiele środowisk”. Nie bez skrepowania przywołuję ten cytat. W domu uczono mnie skromności i pokory, a tu coś jakby nostalgiczna auto-promocja? Niezupełnie. Toż tytuł wywiadu klarownie daje do zrozumienia, że to dialog z odmieńcem. Pożyczam go więc na jednorazowy, trochę masochistyczny użytek. Apel „Książnicy Karkonoskiej” o wspominki jeleniogórzan, to dla mnie okazja do osobistej retrospekcji. Będzie trochę faktografii, ale przede wszystkim będą to wspomnienia

i refleksje dość osobiste...

Zanim na dobre zostałem jeleniogórzaninem...

...przez ćwierć wieku byłem wrocławianinem. A Jelenia Góra pojawiała się w moim życiu od czasów dziecięcych. Jedną z pierwszych migawek : tato, ś.p. Ignacy Ferdynand Jakubiec z rodu góralski-beskidzki, wrócił z delegacji i z atencją opowiadał o znakomitej kawiarni „U Turka” w jakiejś Jeleniej Górze. Ten jego zachwyt utkwił w pamięci. Dużo później zacząłem kojarzyć, że ten wielkiej zacności i kultury przedwojenny notariusz zetknął się wtedy z czymś, co nijak nie przystawało do szaroburzych realiów stalinowskiej komuny.

Trochę później, w okresie październikowego przesilenia Jelenia Góra znów pojawiła się w rozmowie z ojcem. Pokazał mi numer „Po Prostu” w którym demaskowano koszmar, jakim dla załogi jeleniogórskiej „Celwiskozy”, niemal nazajutrz po uruchomieniu produkcji, okazała się ta chluba planu 6-letniego. Byłem młokosem I o sprawach ekonomii przemysłowej wiedziałem tyle co nic, ale pamiętam do dziś, jak zbulwersowany ojciec mówił, że w tym zakładzie człowiek to jeden z surowców, zużywanych w toku produkcji. Niepokorne „Po Prostu” skończyło swój żywot wraz z krótkim epizodem gomułkowskiej odwilży...

Ja sam do Jeleniej Góry trafiłem po raz pierwszy kilka lat później, latem 1959 r. Przez lekką atletykę. Byłem zawodnikiem wrocławskiego klubu „Czarni” i jako 16-latek znalazłem się w okręgowej kadrze młodych dyskoboli. Mieszkaliśmy w ośrodku „Gwardii” na Nowowiejskiej. Dobre wyposażenie, świetni trenerzy, znakomita kuchnia. Nie zdziwiło mnie, gdy rok później usłyszałem, że jej szef wyjechał z polską drużyną olimpijską na igrzyska do Rzymu, jako jej kulinarny opiekun. Trenowaliśmy solidnie, końcowy sprawdzian na stadionie przy Złotniczej zakończyłem życiowym rekordem 41,72 m.

Na zwiedzanie Jeleniej Góry wiele czasu nie było, ale przejazdy tramwajem po wąskotorowych szlakach starego miasta mile wspominam... A z dawnym ośrodkiem „Gwardii” miałem mieć styczność jeszcze nieraz, wiele lat później, w okresie stanu wojennego, ale już w całkiem innej roli.

Sprawa „Celwiskozy” weszła mi ponownie „w kadr” w czasie studiów. Bodaj w 1962 r. w popularnej serii małych książeczek „Omegi” ukazała się „Oskalpowana ziemia” Antoniny Leńkowej. W zbiorze różnych artykułów o (jak byśmy dziś powiedzieli) pro-ekologicznej wymowie, był kolejny oskarżycielski tekst o trującej „Celwiskozi”. Po latach skojarzyłem, że jeśli w „historii ekologii” za kamienie milowe uznać słynne raporty Klubu Rzymskiego czy Raport U Thanta, to „Oskalpowana ziemia” wyprzedzała je wszystkie... Ale wtedy, na początku lat 60-tych żyłem studiami na architekturze, choć - uczciwie mówiąc - jeszcze bardziej sportem. Dwukrotnie zdążyłem być mistrzem Polski juniorów CRZZ w dysku, a mój rekord Dolnego Śląska (52,07 m.), ustanowiony w 1962 roku przetrwał, jak później słyszałem, kilkanaście lat. Ze sportu na dobre wyeliminowała mnie kontuzja, co wyszło mi na dobre, bo dość solidnie i w terminie skończyłem studia na architekturze, mając wcześniej stypendium naukowe i zapewnioną asystenturę w Katedrze Historii Architektury Polskiej. To tam w pracy doktorskiej mojej koleżanki, Ewy Różyckiej-Rozpędowskiej o „dworach śląskich”, mogłem przeczytać o dobrym egzemplum z tej grupy - dworze w Czarnem, gdzieś pod Jelenią Górą.

W Jeleniej Górze znalazłem się, choć nie tak od razu...

... z powodu Marca '68.

Praca na uczelni była moim żywiołem i tak mogło być długo jeszcze. Dydaktyka, udział w pracach badawczych, przymiarki do doktoratu... Wielką frajdę miałem jako opiekun studenckiego koła naukowego. Jego aktywność z misjami badawczymi miała związek raczej luźny, ale klimat jaki panował w tym kręgu młodych ludzi z otwartymi głowami, często już wtedy świetnie zapowiadających się twórców, był fantastyczny. „Gdy przyszedł na to czas” (cytat z późniejszej popularnej piosenki, moczarowskiej z ducha), czyli w wydarzeniach marcowych i potem, było to jedno z aktywniejszych środowisk. A ja wraz z nim... Nadszedł czas buntowniczego knucia. W moim przypadku pomarcowa konspira zakończyła się nad ranem 24. czerwca 1969 r. Na dwa miesiące wyładowałem w areszcie. Miało to trwać znacznie dłużej, śledczy instruował mnie że „trzy lata to masz pan jak w banku...”, ale partia na okoliczność XXV-lecia PRL-u wielkodusznie zarządziła amnestię. Tu muszę przywołać ważny wątek mojego krótkiego romansu z partią. Otóż jedną z pozycji na liście przedmiotów zabranych mi przez esbeków w trakcie czerwcowej rewizji była moja legitymacja kandydata do PZPR. To fakt: byłem na drodze do zasilenia szeregów przewodniej siły narodu! Nie było to sprzeniewierzenie się ideałom, o które upominaliśmy się w Marcu i potem. M.in. w słynnej ulotce „Do wszystkich!”, z sukcesem (bo wtedy bez wpadek) rozkolportowanej po Wrocławiu, w ilości ok. 15.000 egzemplarzy 29. kwietnia, tuż przed rytualną fetą pierwszomajową. Ostatecznie to za tę ulotkę, jako jeden z jej autorów i organizatorów całej akcji, rok później trafiłem do pudła... Ale zanim tam trafiłem, było jako się rzekło, knucie. Wrocław - miasto naukowców, artystów, twórców kultury, był częścią komunistycznego PRL-u, ale był też ośrodkiem żywego, intelektualnego fermentu w którym spotykały się różne postawy i idee. Na uczelni działałem wśród ludzi partyjnych, ale najzwyczajniej przyzwoitych, których też męczyło zakłamanie i tępota gomułkowskiej propagandy. Że coś z tym wszystkim trzeba zrobić widzieli równie dobrze jak zbuntowana studenteria, tyle że uważali iż w tamtych realiach o ów socjalizm z ludzką twarzą można skutecznie walczyć tylko „od środka”. I tak, gdzieś na przełomie 1968/69, przekonany do tego hasła, zostałem kandydatem do PZPR. Znamienny był finał mojego romansu z partią. Gdy tylko odzyskałem wolność, bogatszy o przemyślenia na które miałem dwa miesiące względnego komfortu, zapragnąłem odbyć szczerą partyjną rozmowę „pa duszam” z tow. sekretarzem komitetu uczelnianego na Politechnice. Kilkakrotne wizyty w jego biurze i prośby o termin spotkania nie dały

efektu. Krótco potem partia powiadomiła mnie, że skreśliła mnie z listy kandydatów. Z powodu niepłacenia składek. Skończyła się też moja kariera naukowa.

O wrocławskim „Marcu” (o moim w nim udziale też) można przeczytać w wydanej w 2006 r. książce „Dolnośląski marzec '68” (autor: Włodzimierz Suleja, szef wrocławskiego oddziału IPN).

Zostałem urbanistą

Nastał - przejściowy, jak się miało okazać - rozbrat z historią architektury, zabytkami i branżą konserwatorską. Przez dwa lat pracowałem w biurach projektów zdobywając fach urbanisty.

Ta specjalność coraz bardziej mi odpowiadała. Zaciągnąłem się na dwuletnie studium podyplomowe planowania przestrzennego na Politechnice Szczecińskiej i na początku 1971 r. znalazłem pracę w ówczesnej Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej, na wrocławskim Nowym Targu. Był to kilkumiesięczny etap przejściowy, mający przygotować mnie do pracy tu w Jeleniej Górze. A stało się tak, gdy dowiedziałem się, że władze miasta poszukują urbanisty, który mógłby pokierować pracami nad ogólnym planem zagospodarowania przestrzennego. Miałem 28 lat, trochę zawodowego otarcia w tej branży. Do tego... chodziło o miasto, z którego pochodziła moja rok wcześniej poślubiona małżonka, wtedy jeszcze studentka budownictwa, Lidka z.d. Wyderkowska. Zgłosiłem się do architekta wojewódzkiego i chyba zrobiłem dobre wrażenie, bo niezwłocznie zostałem skierowany do W.P.U., mającej merytoryczną pieczę nad terenowymi służbami urbanistycznymi na Dolnym Śląsku. Zostałem przydzielony do zespołu inż. Krystyny Kalety, który prowadził studia i analizy optymalnych kierunków rozwoju sieci osadniczej w Kotlinie Jeleniogórskiej. Na tle Dolnego Śląska był to dla urbanistów rejon specjalnej troski: aglomeracja wpisana w obszar o unikatowym nagromadzeniu cennych walorów przyrodniczych, krajobrazowo-kulturowych..., zaś z drugiej strony - obszar naznaczony dramatyczną kolizyjnością funkcji przemysłowych i rekreacyjno-uzdrowiskowych. Celulozowo-włókienniczy kombinat „Celwiskoza”, chemiczny moloch idiotycznie zlokalizowany w dnie słabo przewietrzanej Kotliny, niemal za płotem uzdrowiska o siedmiowiekowej tradycji, był symbolem tego dramatu. Dodajmy: w jego PRL-owskim wymiarze. Bowiem rok później, mieszkając już w Jeleniej

Górze, usłyszałem od dr Stanisława Bernatta, że ta industrializacyjna aberracja zaczęła się tu już „za Niemca”. Ten znakomity erudyta i znawca dziejów regionu, opowiedział mi jak to hitlerowscy strategowie na długo przed wybuchem wojny typowali obszary strategicznie bezpieczne, których miały nie tknąć przyszłe działania wojenne. To tam na wielką skalę nastąpił rozkwit przemysłu oraz przebranżowienia mające służyć machinie wojennej. W przypadku Kotliny Jeleniogórskiej prognozy sprawdziły się w pełni: fronty wojny ominęły ten region. A Jelenia Góra, na swoje nieszczęście, stała się ośrodkiem szybkiego rozwoju branż przemysłowych, zdecydowanie nie przystających do wizerunku stolicy Karkonoszy, znanej wraz z cieplickim kurortem z turystycznych bedekerów. Dawna fabryka perfum mająca 80 pracowników, nim ostatecznie stała się „Celwiskożą”, zmieniła się w wytwórnię sztucznego jedwabiu na spadochrony dla armii. Zakład z 300-osobową załogą w ówczesnych realiach był duży, pracował na wielkich obrotach a chemiczny profil produkcji już wtedy dawał znać o sobie smrodliwymi wyciekami. Stalinowski „Plan 6-letni” dokonał reszty. Wąskoprofilowa fabryka została przekształcona w wielki kombinat z 3000-osobową załogą. Toksyczna produkcja emitująca do rzeki Kamiennej i do atmosfery ogromne ilości szkodliwych substancji niszczyła środowisko w bezprzykładny sposób. Oraz całkiem wprost ludzkie zdrowie. To od doktora Bernatta usłyszałem, że psychiatryczny oddział szpitala w Bolesławcu utworzono w latach 50-tych, bo gdzieś trzeba było leczyć nagłe „przypadki z Celwiskoży” : robotników zatrutych niewyczuwalnym ale paraliżującym ludzki system nerwowy gazem CS2... Pracując jeszcze we Wrocławiu nad studialnym planem Jeleniogórskiego Zespołu Miejskiego, coraz bardziej wchodziłem w ten szczególny, zatrważający „casus”, dla którego rozwiązania nie było widać, a przecież wiedzieliśmy że ono musi się znaleźć. Mówiąc „my” mam tu na myśli urbanistów. Wobec misji, jakiej miałem się podjąć, oparcie jakie znalazłem w tym środowisku było niezwykle cenne. Cokolwiek dziś nie sądzić o planowaniu przestrzennym w tamtej epoce, przy całej odmienności warsztatu urbanisty i obowiązujących wtedy i dziś reguł gry, fakt że takie środowisko istniało, że miało swój branżowy etos wysokiej próby i znakomity macecznik w postaci utworzonego jeszcze w 1923 roku Towarzystwa Urbanistów Polskich, było dla młodego, nie pozbawionego ambicji urbanisty okolicznością krzepiącą. Czułem się częścią dużej zawodowej rodziny, grona ludzi światłych, traktujących swój warsztat jako pracę twórczą, ale również jako bardzo odpowiedzialną służbę. Nasz mistrz w urbanistyce, prof. Leszek Dąbrowski, były dziekan wrocławskiej

Architektury (łączyły nas dole i niedole marcowe) gdy już „na zesłaniu” w Szczecinie kierował studium podyplomowym, kładł nam do głowy, na czym między innymi polega różnica pomiędzy architektem „od budynków” i absolwentem tego samego wydziału, który chce być urbanistą: „jeśli sknocisz projekt domu, to narazisz się jednemu inwestorowi, ewentualnie jego rodzinie, ale gdy porobisz błędy w planie ogólnym miasta, możesz skrzywdzić tysiące ludzi i to na kilka pokoleń”.

Do Jeleniej Góry przeniosłem się z początkiem sierpnia 1971 r...

To było przeżycie szczególne. Pod dom moich rodziców na Kochanowskiego we Wrocławiu zajechał służbowy samochód przysłany po mnie przez ówczesnego szefa miasta, przewodniczącego Prezydium MRN Zbigniewa Daroszewskiego. Wraz z Lidką i niespełna rocznym Maćkiem i z częścią dobytku – znaleźliśmy się w Jeleniej Górze. Tu czekała na mnie praca i służbowe mieszkanie. Po krótkim popasie u teściów w budynku zakładów papierniczych (teść, Edmund Wyderkowski przedwojenny fachowiec tej branży uruchamiał po wojnie tutejszy przemysł papierniczy) na Kilińskiego przy dzisiejszym DODN, dostałem klucze do nowej kawalerki na Różyckiego.

Czekająca na szefa Miejska Pracownia Urbanistyczna mieściła się na poddaszu przybudówki do ratusza (dziś jest tam wydział kultury U.M.) a ekipę z którą miałem pracować tworzył trzyosobowy team dość odmiennych osobowości: pani Leokadia Gazda, programistka zwana Lonią, z zawodu geograf gospodarczy, oraz dwóch panów: Mirosław Krawczyk, dojeżdżający z Kamiennej Góry architekt o dość skomplikowanej filozofii zawodowej, oraz Kazimierz Chojnik, utalentowany technik plastik, popularny i aktywny w kręgu jeleniogórskich twórców-amatorów. Cztery lata później, gdy byłem na zagranicznym stażu dotarła do mnie wiadomość o tragicznej, śmierci Kazika.

Latem 1971 prace nad planem ogólnym ruszyły sprawnie, zgodnie z zasadami sztuki od razu na kilku kierunkach. Gruntownie penetrowaliśmy obszar miasta, powstawały plansze inwentaryzacji urbanistycznej z rozkładem funkcji, infrastrukturą techniczną, waloryzacją fizjograficzną...

W problemach wąsko branżowych wspomagali nas specjaliści w pracowni wrocławskiej. Stan obecny oraz przeszły poznawaliśmy z wszelkich dostępnych źródeł,

także z analizy opracowań naszych poprzedników. Wspomnę, że Jelenia Góra od roku 1962 miała już plan ogólny. Jego autorem był arch. Jerzy Chełmicki z wrocławskiej WPU. Wobec dominacji przemysłu, zwłaszcza wobec problemu "Celwiskozy" jego plan wykazywał wtedy niestety całkowitą bezradność. Jedynym, skądinąd logicznym wnioskiem planistów, była ucieczka z rozwojem tkanki miejskiej jak najdalej od trującego kombinatu. To wtedy otwarto północny kierunek rozwoju przestrzennego, wyznaczając tereny pod Zabobrze I, także dlatego, że były to tereny stosunkowo dobrze nawietrzne i wentylowane. Gdy ruszały nasze prace nad nowym planem, w przygotowaniu było Zabobrze II i trasowana była obwodnica północna. Praca w MPU nie polegała tylko na opracowywaniu planu ogólnego. M.in. przygotowywaliśmy też opinie do decyzji lokalizacyjnych dla architekta miejskiego, którą to funkcję sprawował wtedy arch. Józef Marek. Jedną z pierwszych spraw lokalizacyjnych, jakie do mnie trafiały było wytypowanie miejsca pod nową siedzibę GOPR. Stała zgodnie z moim wskazaniem, przy wylocie na Karpacz przy dzisiejszej ul. Sudeckiej. Pierwszy etap mojej pracy trwał stosunkowo krótko. W połowie 1972 r. przysłała pierwsza z reorganizacji, jakich potem przeżyłem jeszcze kilka. Ta wynikała z połączenia struktur administracyjnych Jeleniej Góry i Powiatu Jeleniogórskiego. Utworzono stanowisko Naczelnika Miasta i Powiatu. Powstały też wspólny wydział architektury i budownictwa (kierował nim arch. Ryszard Lipkowski) oraz wspólna pracownia urbanistyczna pod kierunkiem arch. Wiktora Prystroma. Mój zespół opuścił poddasze przy ratuszu i kontynuował prace nad planem w budynku na rogu ul. Kochanowskiego i Bartka Zwycięzcy, mając zresztą w urbanistycznych sprawach dotyczących miasta praktycznie pełną samodzielność.

CELWISKOZA - jeleniogórski problem nr 1

To na szczęście historia. Dobrze znana jeleniogórzanom dojrzałych i starszych generacji. To temat-rzeka. Tu z własnych wspomnień przywołam kilka wątków, godnych jak sądzę upamiętnienia.

Dla mnie to było 19 lat bojów. Ale nie tylko moich i nie przez urbanistów zainicjowanych. O tym, że problem Celwiskozy to kluczowa bariera na drodze normalnego rozwoju miasta, wiedziałem jadąc do Jeleniej Góry. Nie wiedziałem jednak jak na tym tle kształtują się opinie i podziały wśród jej mieszkańców. Nie było to tak oczywiste. Kombinat miał swoje atuty: silna pozycja na rynku, spory eksport, dobra kadra specjalistów z cennym dorobkiem wynalazczym, a nade wszystko - 3000 miejsc pracy, co doliczając rodziny pracowników było w demograficznym bilansie miasta pozycją bardzo znaczącą. No i do tego specyfika czasu wczesnej komuny. Dymiące kominy fabryk na stuzłotówkach, jako znamię postępu i krzepy systemu, oddawały w istocie syndrom politycznego uwielbienia dla przemysłu jako takiego. Jeleniogórski kombinat miał bardzo mocne, autentyczne, choć jakże ślepe!, oparcie w aparacie partyjnym, który traktował go jako tytuł do chluby! Artykuł w „Po Prostu” to była historia, zresztą od tamtego czasu pewne zmiany technologiczne wprowadzono i emisje CS₂ na stanowiskach pracy uległy redukcji. Ale zło jakie zakład nadal czynił było oczywiste i co do tego większość mieszkańców nie miała wątpliwości. Rychło zorientowałem się, że jest tu duża grupa świątłych ludzi: lekarzy, naukowców, działaczy turystycznych, miłośników regionu, którzy w tej sprawie nie zamierzali pozostawać bierni. Poczynając od pierwszych „Tez Jeleniogórskich”, przez doroczne konferencje NOT poświęcone ochronie środowiska po powstawanie kolejnych forów, na których problem omawiano. W 1973 r. powstało Karkonoskie Towarzystwo Naukowe, a krótko potem – m.in. z inicjatywy niżej podpisanego – jeleniogórski Oddział Towarzystwa Urbanistów Polskich. Pamiętam zaangażowanie takich osób jak lekarz naczelny Uzdrowiska Cieplice dr Jerzy Timmler, dyrektor „handlówki” Bohdan Liksztet, grupa naukowców z jeleniogórskiej filii Akademii Ekonomicznej dr Peretiatkowicz, małżeństwo p.p. Wielebińskich a później także p.p. Borysów. To z polecenia p. Danuty Wielebińskiej odszukał mnie dr Bernatt i zachęcił do publicystycznej wypowiedzi na redagowanym przez niego „Roczniku Jeleniogórskim”. Ukazała się ona w edycji „RJ” z 1972 r. pod tytułem „Jeleniogórskie refleksje urbanistyczne”.

Słowo „ekologia” wtedy jeszcze w Polsce nie funkcjonowało w publicznym obiegu, ale coraz częściej słycać było o „ochronie środowiska”. Świat odbierał kolejne porcje groźnych sygnałów, jakie serwował w swych raportach tzw. Klub Rzymski, Raport U Thanta z 1969 r. czy wreszcie sztokholmska konferencja o stanie środowiska z czerwca 1972 r. docierały także do Polski. Do Jeleniej Góry także. Niestety z różnym skutkiem. Zwolennicy dynamicznej industrializacji z epoki wczesnego Gierka, woleli puszczać mimo uszu apele „ochroniarzy” szermując hasłem „co technika zepsuła to technika naprawi”. Ten pseudo-kanon przywołano gdy w związku z pracami nad planem ogólnym, co i rusz zgłaszaliśmy władzom problem „Celwiskozy”. Sprawy potoczyły się fatalnie! W 1973 roku zapadła rządowa tzw. uchwała wrocławska, zawierająca listę nowych inwestycji na Dolnym Śląsku. Wśród nich budowę kolejnego gierkowskiego giganta, jakim miała być... wytwórnia poliamidów w Jeleniej Górze. Ni mniej ni więcej, tylko jako rozbudowa „Celwiskozy”! Kombinat miał podwoić zatrudnienie do 6000 pracowników, zając przyległe 160 ha terenu zbliżając się jeszcze bardziej do Cieplic, etc. Zastosowanie filtrów i zabezpieczeń wody i atmosfery przed emisjami z dotychczasowej produkcji miało być częścią tej wielkiej inwestycji. Nam pomysł ten jawił się jako lekarstwo groźniejsze od samej choroby. Pomijając zupełny brak wiary, iż rozwiązania te okażą się naprawdę skuteczne, tak wielka inwestycja oznaczała stabilizację już „na wieki” wielkiej chemii w Kotlinie Jeleniogórskiej. Zbulwersowane i zjednoczone w proteście jeleniogórskie środowiska architektów (SARP) i urbanistów (TUP) opracowały memoriał do władz powiatu. Delegacja została przyjęta w ratuszu, nie bez kurtuazji bo naczelnik powiatu i sekretarz partii mile podziękowali nam za obywatelskie zaangażowanie, ale o odstąpieniu od tego pomysłu mowy być nie mogło. Przy okazji wyrazili zdziwienie, co właściwie architektom i urbanistom do sprawy, która przecież leży w decyzyjnych kompetencjach komisji planowania gospodarczego. Całkowity brak płaszczyzny porozumienia skłonił mnie do szukania ratunku gdzie indziej. W tym czasie działał już w kraju Klub Prasowy „Krajobrazy”, który firmował artykuły pro-ekologicznie nastawionych dziennikarzy, tropiących największe grzechy przeciw środowisku. Tygodnik „Literatura” zamieścił obszerny materiał Iwony Wojtczak opisujący jako totalną brednię zamysł budowy wielkiej wytwórni silikatów w puszczy, nad jeziorem Wigry. Odszukana przeze mnie pani redaktor przyjechała do Jeleniej Góry, zebrała solidny materiał do artykułu i zaproponowała go kilku gazetom, z „Polityką” włącznie, niestety bez powodzenia. Bez mała rok później, gdy odbywałem urbanistyczny

staż w Niemczech, dotarł z kraju egzemplarz „Życia Gospodarczego”, w którym na dwóch stronach znajdował się jednoznaczny w wymowie artykuł tejże dziennikarki. Tytuł: „Kotlina styloem płynąca”. Do dziś nie wiem, czy to był gwóźdź do trumny tamtego pomysłu, czy pomysł zawalił się sam pod ciężarem własnej głupoty, czy może - co najbardziej prawdopodobne - ekipie Gierka kończyła się już tzw. kasa i hamowano inwestycyjne rozpasanie z pierwszej połowy lat 70-tych. Jakkolwiek było, artykuł Iwony Wojtczak wywołał w jeleniogórskim aparacie sporo złej krwi. Gdy powróciłem z rocznego stażu do Jeleniej Góry już nie powiatowej a wojewódzkiej i podjąłem pracę w nowo powstałym Wojewódzkim Biurze Planowania Przestrzennego, jego szefowa p. arch. Basia Jaworska zwierzyła mi się po jakimś czasie, że miała naciski by odseparować mnie od dalszych prac nad planem Jeleniej Góry. Nie poddała się i ponownie zostałem generalnym projektantem planu ogólnego, którego teraz potrzebowała Jelenia Góra, jako jeden z nowych „ośrodków wzrostu o znaczeniu krajowym”. Wzrost w sensie potencjału demograficznego, początkowo zapewniło powiększenie Jeleniej Góry o Cieplice, Sobieszów i Maciejową ale przyszłość miasta rysowała się na tyle atrakcyjnie, że jego sukcesywny rozwój można było prognozować z ówczesnej wielkości ponad 90.000 do skali 120.000 mieszkańców. Plan zakładał pasmowy rozwój miasta, najpierw w kierunku Cieplic a potem po ówczesnych terenach poligonowych w stronę Karpacza. Niezbyt korzystny układ dworców PKP i PKS miał być radykalnie zmieniony, poprzez budowę nowego zespołu terminali usytuowanych na styku z nową tzw. dzielnicą centralną, w rejonie „Celwiskozy”. Dziś, gdy ludność miasta nie tylko nie wzrosła do owych 120 tysięcy, ale zmalała poniżej 90, tamte wizje skwitować można wzruszeniem ramion. Ale gdy cofam się pamięcią o ponad 30 lat, nie mam poczucia, że było to bujanie w obłokach. Prace nad planem miasta przebiegały teraz w radykalnie innym niż dotąd klimacie. Ta nowa sytuacja nie tylko umożliwiała i usprawiedliwiała kreślenie śmiałych wizji przyszłej Jeleniej Góry, ale wręcz mobilizowała nas w tym kierunku. Miało to związek z tym, jaka ekipa polityczna objęła rządy w Jeleniej Górze. Przekonałem się o tym, gdy w gabinecie nowego naczalstwa K.W. PZPR przyszło mi referować problem „Celwiskozy”. „Spadochroniarze” z partyjnej centrali, Stanisław Ciosek i Paweł Chocholak okazali się dużo lepszymi partnerami w tej rozmowie niż ich poprzednicy z czasów powiatu. Koniec końców plan został opracowany, poddany serii debat publicznych i został zatwierdzony w roku 1977. W części tekstowej zawierającej kluczowe dyspozycje warunkujące rozwój miasta znalazł się zapis nakładający na ten

zakład rygor doprowadzenia jego produkcji do takiej czystości ekologicznej i poziomu emisji, jakich wymagało sąsiedztwo uzdrowiska. W świetle ustawy o uzdrowiskach było jasne, że jest to nierealne i że dla „Celwiskozy” włączone zostało wsteczne odliczanie. Pierwszym etapem tego procesu było zamknięcie celulozowni. Nastąpiło to w roku 1980. Chodziłem nad Kamienną i Bóbr by widzieć i cieszyć się, gdy niemal z dnia na dzień rzeki te zmieniały swój wygląd. Dużo gorzej było z drugą częścią kombinatu, czyli z wiskozownią.

Tu blokady okazały się bardzo silne. Ale był to już czas „Solidarności” i w sprawę zaangażowało się utworzone w kwietniu 1981 jeleniogórskie koło Polskiego Klubu Ekologicznego. 5-osobowy zespół organizujący działalność Klubu tworzyli : Ewa Filipiak, Rysiek Gronowski, dwóch Benków: Konca i Czerny oraz niżej podpisany. Pytanie „Co dalej z Celwiskożą” było głównym choć nie jedynym tematem na kolejnych comiesięcznych spotkaniach Klubu. Organizowaliśmy je w siedzibie Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” przy ul. Nowotki, jako otwarte dla wszystkich chętnych. Działalność i różne akcje Klubu cieszyły się stale rosnącym powodzeniem. Dzięki „Solidarności” bez większego trudu nawiązaliśmy kontakt także z załogą „Celwiskozy”. Rozumieliśmy się dobrze. Pamiętam ostrą dyskusję na wspólnym spotkaniu członków Klubu z przedstawicielami załogi i dyrekcji „Celwiskozy”. Gdy dyrektor Grała zaatakował nas, jak to niefrasobliwie chcemy pozbawić ludzi pracy, zareagował jeden z członków Komisji Zakładowej „S” : „panie dyrektorze, niech pan nie zapomina, że my też jesteśmy mieszkańcami Jeleniej Góry i też chcemy razem z naszymi rodzinami żyć w czystym a nie zatrutym środowisku”. Rozmowy z ówczesnymi radnymi i posłami wskazywały, iż także z ich strony możemy liczyć na poparcie. Na przełomie listopada i grudnia przygotowany został manifest w sprawie całkowitego zamknięcia „Celwiskozy”. Jego ogłoszenie zaplanowane zostało na czwartek, 17 grudnia 1981 r. Postawienie sprawy na ostro miało być wzmocnione emisją w ogólnopolskim programie TV filmu o trucicielskiej działalności „Celwiskozy” i innych zakładów emitujących CS2. Przygotowała go red. Monika Szwaja ze szczecińskiej TV, dziś znana jako autorka popularnych powieści. Manifest przygotowany na czwartek 17.12.81. nie dotarł do opinii publicznej. Bo cztery dni wcześniej była niedziela 13. grudnia 1981 r. Oskarżycielski materiał filmowy do dziś leży gdzieś w magazynach szczecińskiej TV (jego autorka zaraz po 13. grudnia wyleciała z pracy). Żywot „Celwiskozy” został sprolongowany o 7 lat... Finał nastąpił w końcu 1988 roku, po akcji zbierania podpisów pod petycją do rządu w której mieszkańcy

Jeleniej Góry domagali się zamknięcia tych zakładów. W ciągu kilku dni zebraliśmy ok. 12.000 podpisów. Na biurku premiera M.F.Rakowskiego złożył je prof. Tadeusz Borys. Krótco potem „Celwiskoza” zakończyła produkcję. Był to pierwszy w Polsce przypadek zamknięcia dużego zakładu z przyczyn ekologicznych.

Czas stanu wojennego

Zasługiwałby on na obszerniejszy opis, bo choć polityka to zdecydowanie nie mój żywioł, to tak jak w Marcu '68, tak i teraz nie umiałem biernie stać z boku. Działo się więc sporo, ale tym co dla mnie w tym czasie było najważniejsze było :

Ratowanie Dworu Czarne

Zaczął się od wizyty, którą w 1974 r. złożył mi mój były szef z Katedry Historii Architektury Polskiej prof. Jerzy Rozpędowski. Przyjechał w związku z przygotowywaną ekspertyzą o zespole barokowych kaplic grobowych przy kościele garnizonowym. Wybraliśmy się do dworu, który wtedy zobaczyłem po raz pierwszy. Widok był przygnębiający. W centrum najwyraźniej dobrze prosperującego PGRu stała duża pusta budowla o renesansowych proporcjach i charakterystycznie profilowanych, XVI-wiecznych piaskowcowych portalach okiennych. Stan postępującej degrengolady rzucał się w oczy. Byłem tuż przed wyjazdem na roczny staż w Hanowerze i mogłem tylko westchnąć. Gdy w jakiś czas po powrocie wybrałem się tam ponownie – stan był jeszcze gorszy, to była już ruina z wyraźnymi śladami celowej dewastacji. Zabytkowy dwór zaczął funkcjonować jako bezpłatny magazyn materiałów budowlanych. W tym czasie funkcję konserwatora wojewódzkiego w Jeleniej Górze objęła osoba wyjątkowa: ś.p. Jadwiga Skibińska, znany historyk sztuki z Wrocławia. Porozumieliśmy się w lot i otrzymałem urzędowy glejt społecznego opiekuna zabytku, upoważniający mnie do wszelkich zabiegów na rzecz ratowania dworu. Rozmowa z dyrektorem PGR dała tyle, że zapewnił mnie, iż natychmiast przekaże dwór dowolnemu kandydatowi, który zechce zdjąć mu ten problem z głowy. Jako warsztatowy urbanista miewałem okazje a i sam ich szukałem, do rozmów z potencjalnymi kandydatami. W ciągu dwóch lat przez dwór przewinęło się 16 takich wizyt. Bez efektu. Był to już czas, w którym gierkowska koniunktura poszła w zapomnienie, w kraju narastał kryzys, zbliżały się strajki... Dyrekcja PGR jako właściciel dworu zgłosiła konserwatorowi zamiar rozbiórki. Oczywiście zgody być nie mogło. Dwór był od 1961 roku prawnie chronionym

zabytkiem ujętym w rejestrze konserwatorskim pod numerem 1139. W dniu 2. czerwca 1981 r. wizytę w zrujnowanym dworze złożyli przedstawiciele jeleniogórskiego koła Polskiego Klubu Ekologicznego: Ewa Filipiak (geograf), Zbyszek Oksiuta (architekt, wtedy pracownik Teatru im Norwida) i ja. Koło PKE w tym czasie rozpędzało swoją działalność, mieliśmy ambitne plany i szukaliśmy dla siebie siedziby. To Zbyszek Oksiuta jako pierwszy rzucił pomysł utworzenia „warsztatu ekologicznego”, który przedstawił w Kole PKE w formie prostej w formie a wymownej w treści ulotki. Zbyszek nie pisał gdzie widzi ów warsztat więc nasza wizja lokalna miała jeden konkretny cel: obejrzeć, rozważyć i zdecydować, a może tu ?! Zgodnie z ekologicznym kanonem *myśl globalnie, działaj lokalnie...*, czuliśmy, że uratowanie Dworu to jest właśnie coś dla nas! Wyzwanie wydawało się ekscytujące. Nazajutrz złożyliśmy wizytę u pani konserwator. Z radością przyjęła naszą koncepcję, zadeklarowała wszelką możliwą pomoc i na koniec sama zgłosiła akces do PKE. Kolejne ruchy coraz bardziej posuwały sprawę do przodu: zyskiwaliśmy kolejnych sojuszników i partnerów do tej kampanii. Swoją bezpośrednią pomoc deklarowali harcerze z Jeleniogórskiej Chorągwi ZHP, wrocławski oddział PKE, architekci z jeleniogórskiego SARP-u, fachowcy z wrocławskich Pracowni Konserwacji Zabytków, kilku zaprzyjaźnionych rzemieślników... Zanościło się na szeroką obywatelską kampanię! Entuzjazm i wizjonerskie burze mózgow skończyły się jak nożem uciął. Gorące głowy otrzeźwił mroźny, niedzielny poranek 13. grudnia '81. Polski Klub Ekologiczny nie został zawieszony, ale o normalnym działaniu nie było mowy. Nie widziałem już dla siebie miejsca w biurze planowania i wybrałem nowy sposób na życie jako pomocnik w zakładzie stolarskim w Karpaczu. Jego właściciel, Antek Bil, z drugiego zawodu mój kolega architekt, był także aktywnym członkiem PKE i znawcą niekonwencjonalnych systemów energetycznych. Był jednym z tych członków naszego koła, którzy kilka miesięcy wcześniej, gdy debatowaliśmy o ratowaniu „Czarnego” wnosili do tych rozmów nie sam entuzjazm, lecz także konkretną wiedzę doświadczonego praktyka. W warsztacie pracowałem solidnie, ale był też czas, by temat „Czarnego” wspólnie drążyć nadal.

Oto, jak sprawa potoczyła się dalej. Na moją prośbę, podbudowaną stosownym raportem kustosza dworu, pani konserwator zwołała (nb. w sylwestrowe przedpołudnie 1982 roku) naradę z udziałem podmiotów odpowiedzialnych, bądź współodpowiedzialnych za los Dworu Czarne. Naświetliła problem: zabytkowi, który bez uszczerbku przetrwał wojnę i czasy szabrowników teraz grozi rozbiórka. Na pytanie

czy ktoś ma jakiś pomysł co dalej?, odpowiedzi tak ze strony PGR-u, jak i innych oficjeli nie było. Powiedziałem, że wiem co zrobić ale proszę o trzy rzeczy: kilka milionów (uwaga: ówczesnych) na podstawowe zabezpieczenie budynku, pełnomocnictwo od właściciela czyli PGRu oraz prawo do zamieszkania w dworze. Wyłożenie pierwszych funduszy zadeklarowała pani konserwator. Dyrektor PGRu nim zaakceptował moje warunki zapytał: „panie, a po co panu pełnomocnictwo? Chodźmy do notariusza i masz pan zamek za symboliczną złotówkę na własność!” ... Nim odpowiedziałem, że mnie taka oferta nie interesuje, zdecydowanie wtrąciła się pani Skibińska. Zrugła dyrektora: „to wy doprowadziliście zabytek do ruiny i nadal odpowiadacie za jego los. Ja zaangażuję środki ministra Kultury, ale wy mi je na końcu zwrócicie”. Zostało podpisane trójporozumienie (Konserwator – PGR – społeczny kustosz) i mogłem przystąpić do przygotowywania akcji już bezpośrednio na obiekcie.

Prace ruszyły wiosną 1983 roku. Wcześniej przy pomocy ekipy z PGRu urządziłem na swoje potrzeby pomieszczenia na parterze, w których ostała się jeszcze podłoga, doprowadzono prąd i telefon.

W międzyczasie zorganizowałem 5-osobową brygadę i wyszukałem konserwatorską firmę która mogła mnie zatrudnić i w ramach umowy z konserwatorem wojewódzkim podjąć się remontu ratowniczego dworu. Tak się też stało i w efekcie - choć jest to duży skrót tej relacji – w roku 1988 dwór „Czarne” był nie tylko uratowany i zabezpieczony, ale także dość gruntownie przebadany. Miał też gotowe dwuwariantowe studium jego przyszłego wykorzystania. Wariant I – placówka szkolna, wariant II – ośrodek kultury. Gdy u schyłku komuny 18. listopada 1988 r. kilkudziesięciu udziałowców, głównie ekologów, zawiązywało nietypową, nieistniejącą już spółkę EKO (z siedzibą legalnie zarejestrowaną w mieszkaniu kustosza dworu), byliśmy zgodni, że skojarzymy obydwie te warianty. Ale poszliśmy dalej. Zamek musi się z czasem sam utrzymać, a to bez działalności gospodarczej nie może się udać. Tak rozumieliśmy formułę „warsztatu ekologicznego” i tak rozumiemy ją dziś, gdy założona przez „EKO” Fundacja Kultury Ekologicznej przygotowuje makro-projekt pn. Międzynarodowy Ośrodek Kultury Ekologicznej DWÓR CZARNE.

Na koniec rozbierzmy zapożyczony tytuł tych wspomnień.

Ponad 20 lat temu, red. Rozlał na koniec rozmowy przyszpilił mnie pytaniem, czy ośrodek kultury ekologicznej z celowo programowaną mieszanką funkcji ekologiczno-edukacyjnych z dochodową działalnością gospodarczą, to nie jest „żeniecie ognia z wodą”. Odpowiedziałem że i owszem.

Bowiem ośrodek w Czarnem jest w istocie pomyślany jako synteza idealizmu z pragmatyzmem.

W praktyce ciągle się to jakoś nie udaje. A jednak nawet dziś, bogatszy o wiedzę z minionych dwudziestu lat, widząc zapętlenia w jakie się zapuszczaliśmy, nadal nie wierzę, że te dwie wartości muszą się wykluczać !

„Żenić ogień z wodą” to na ogół synonim niemożności. I znów: dlaczegoż to ?! Przecież te dwa żywioły dają się skojarzyć. Efektem jest para wodna. A parę jak wiadomo, można skierować w gwizdek albo w tłoki.

W różnych sytuacjach i jedno i drugie może mieć sens.